

Warszawa, 8 lutego 2022 r.

KROK DO SUKCESU CZY KROK NAD PRZEPAŚCIĄ?

**Analiza Instytutu Staszica, poświęcona konsekwencjom
ewentualnego wstąpienia Polski do strefy euro**

Przez ostatnie kilkanaście lat, mimo stale wzrastającej temperatury sporu politycznego, w Polsce udawało się wykluczać temat przystąpienia do strefy euro z obszaru społecznych emocji rozniecanych pogłębiającym się podziałem na scenie partyjnej. Rok wyborczy, a także specyfika obecnej sytuacji gospodarczej, zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej, niosą ze sobą pogłębione ryzyko wprowadzenia idei „euro zamiast złotego” do katalogu zagadnień nie merytorycznych, a bardziej abstrakcyjnych, stanowiących jedynie paliwo ideologiczne w kampanii wyborczej. Eksperti i autorytety z dziedziny ekonomii, którym wciąż zależy na dobru wspólnym obywateli Rzeczypospolitej, a przede wszystkim odpowiedzialni politycy nie mogą pozwolić, by temat przystąpienia do strefy euro stał się jedną z osi sporu w polityce wewnętrznej, który odarty byłby z rzetelnych argumentów natury ekonomicznej. Tak drastyczna zmiana jak rezygnacja z własnej waluty musi być poparta konsensusem wszystkich sił popolskich, a także zyskać silny mandat społeczny zbudowany dzięki uczciwej kampanii informacyjnej.

Euro w 2011 – niezrealizowana obietnica

W 2008 roku ówczesny premier Donald Tusk przemawiając na otwarciu Forum Ekonomicznego w Krynicy powiedział: „*Składam przed przedsiębiorcami obietnicę, że naszym celem jest przystąpienie do strefy euro w 2011 roku*”. Trudno dziś odnaleźć w mediach z tamtego czasu odpowiedzi na pytanie czy komunikat ten wywołał entuzjazm, czy raczej przygnębienie wśród polskich przedsiębiorców. Zrealizowanie tamtej obietnicy postawiłoby bowiem wielu z nich, a zwłaszcza polskich eksporterów, w arcytrudnej konieczności rywalizacji z dużo bogatszymi firmami zachodnimi w tym samym obszarze walutowym, co przecież niwelowałoby jeden z największych atutów wspomnianych rodzimych podmiotów biznesowych w czasie kryzysu, jakim jest jego amortyzacja poprzez czasowe osłabienie waluty. Tusk złożył jednak swoją obietnicę dosłownie w przeddzień wybuchu największego kryzysu ekonomicznego jaki rozlał się po całym świecie w XXI wieku i który nawet największym entuzjastom wspólnej europejskiej waluty uświadomił w tamtym czasie, że pozostanie przy złotym jest tak wielkim atutem polskiej gospodarki, że temat przyjęcia euro ucichł na kolejne lata. Zamiast zatem wracać do tematu wprowadzenia euro Donald Tusk prezentował Polskę jako zieloną wyspę na tle pogrążonej w kryzysie strefy wspólnej waluty.

Tamten kryzys, który zapoczątkował upadek banku Lehman Brothers, nie był jednak całkowicie bezbolesny dla Polaków, a najdotkliwiej ugodził w tych, którzy zaciągnęli kredyty denominowane w obcych walutach, a głównie we franku szwajcarskim. Był to tak naprawdę jedyny, choć bolesny dla wielu polskich rodzin, koszt, bowiem pozostając przy swojej narodowej walucie Polska uchroniła się przed recesją jaka była udziałem większości krajów strefy euro. Najboleśniej wówczas fakt przynależności do tej strefy odczuły kraje południa Europy, a zwłaszcza Grecja, która musiała wyprzedawać swoje dobra narodowe, takie jak morskie porty, by uchronić się przed bankructwem.

Kryzys, który rozpoczął się w roku 2008, pokazał bardzo wyraźnie, że wspólna waluta nie dla wszystkich jest równie korzystna. Grzechem pierwotnym wspólnej waluty jest bowiem to że unia monetarna została wprowadzona przed konsensusem w sprawie wdrożenia unii fiskalnej, która pozwoliłaby na synchronizację polityki fiskalnej i monetarnej strefy euro. Docelowo obie unie, wsparte w przyszłości przez unię rynków kapitałowych pozwoliłyby na stworzenie dość efektywnego systemu fiskalno-monetarnego, ale odbyłoby się to za cenę

rezygnacji z kluczowych narzędzi będących w rękach państw narodowych, czyli kontroli nad dochodami i wydatkami budżetowymi. Nie powinno więc dziwić, że euro w czasie kryzysu finansowego 2008 roku, miało negatywny wpływ na gospodarki takich państw jak na przykład Grecja. Rok 2008 i lata późniejsze dramatycznie pogłębiły różnice w poziomie dochodów i jakości życia Greków i Niemców. Warto zauważyć, że były to lata, w których dosyć wolno, ale jednak w sposób stały podnosiła się za to stopa życiowa obywateli Rzeczypospolitej. Niewątpliwie jednak zasadne wydaje się pytanie czy działałoby się tak również wówczas, gdy zostałaby zrealizowana obietnica Donalda Tuska złożona w Krynicy. Widać jednak, że nawet tak zdeklarowany „euroentuzjasta” jak Tusk zdawał sobie sprawę, że wprowadzenie Polski do strefy euro byłoby wówczas skrajnie niekorzystne.

Osiem lat przerwy w rozszerzaniu strefy euro

Przyjęcie euro przez Polskę, do którego nasz kraj zobowiązał się w nieokreślonym terminie przystępując do Unii Europejskiej, po początkowym okresie fali euroentuzjazmu stopniowo traciło liczbę zwolenników. Obywatele Rzeczypospolitej bacznie przyglądali się temu jak zmieniło się życie mieszkańców terenów przygranicznych, zwłaszcza na Słowacji i na Litwie, po przyjęciu przez te kraje wspólnej europejskiej waluty. 1 stycznia 2009 roku euro przyjęła Słowacja, która wcześniej przez wiele lat była celem wizyt zakupowych Polaków, zwłaszcza z Małopolski i Podkarpacia. Po odejściu od słowackiej korony na rzecz euro trend ten zupełnie się odwrócił i to obywatele słowaccy zaczęli stanowić klientelę sklepów po polskiej stronie granicy. Identyczne zjawisko miało miejsce po 1 stycznia 2015 roku, kiedy w strefie euro zagościła Litwa. Wówczas to polskie sklepy na Suwalszczyźnie zaczęły przeżywać istny najazd klientów z Litwy, którzy z dnia na dzień obudzili się w dużo droższej rzeczywistości. Zarówno na Słowacji i na Litwie doszło bowiem do mechanizmu znanego praktycznie ze wszystkich państw, które wcześniej przyjmowały wspólną walutę, a więc drastycznego wzrostu cen. Mechanizm ten jest praktycznie nie do uniknięcia, co wynika nie tylko z tendencji handlowych, ale z prostej matematyki. Przykładowo, w dniu przyjęcia euro na Słowacji kurs europejskiej waluty wynosił 30 koron i 12 halerzy (1 € = 30,126 SKK). Gdy suma ta wyrażona w koronach stawała się 1 euro dzielonym na 100 eurocentów automatycznie oznaczało to, że minimalna moneta obiegowa (1 eurocent) wynosiła aż 30 halerzy, co musiało doprowadzić do zaokrąglania cen w górę.

Od czasu przystąpienia do strefy euro Litwy, a więc od 2015 roku przez ostatnie osiem lat żaden kolejny kraj nie zdecydował się na przyjęcie wspólnej waluty. Przeciwnie – co jakiś

czas pojawiały się sygnały o możliwym rozpadzie strefy ze względu na wstrząsające nią kryzysy, które spośród niemal wszystkich zrzeszonych w niej krajów wzmocniły jedynie gospodarkę Niemiec. Dopiero w 2023 strefa zyskała kolejnego członka, jakim została Chorwacja. Co warte odnotowania stało się dopiero po zmianie obozu politycznego jaki znalazł się u władzy w tym kraju. Zorientowaną na współpracę w ramach projektu Trójmorza prezydent Kolindę Grabar-Kitarović zastąpił w 2020 roku socjaldemokrata Zoran Milanović, który skierował politykę swojego kraju na kurs proniemiecki i prorosyjski, otwarcie krytykując chociażby dostawy broni na Ukrainę. To za jego kadencji, 1 stycznia 2023 Chorwacja znalazła się w strefie euro, co przyjęto z ogromnym entuzjazmem w Brukseli i Berlinie. Natychmiast także w kraju tym rozpełtała się burza związana ze znanym już z każdego innego państwa mechanizmem dramatycznego wzrostu cen. Prawdziwy sprawdzian sensu wprowadzenia euro w Chorwacji przyjdzie wraz z rozpoczęciem letniego sezonu turystycznego. Słynąca z wyjątkowych walorów wypoczynkowych Chorwacja była dotąd celem wyjazdów turystycznych milionów obywateli także krajów Europy Środkowo-Wschodniej, w tym oczywiście Polski. Choć kraj ten dotąd nie słynął z niskich cen i kosztów atrakcji turystycznych, to jednak po przystąpieniu do strefy euro może stać się zwyczajnie zbyt drogi dla wielu obywateli Europy.

Euro a odporność na kryzysy

Przyjęcie euro przez Chorwację i towarzyszące temu zjawiska stały się bezpośrednim powodem powrotu dyskusji o zastąpieniu złotego przez euro na polskiej scenie politycznej. Rzeczowych argumentów w niej jednak brakuje, a przynajmniej żaden z euroentuzjastów nie stara się podjąć rękawicy, by w sposób rzeczowy zbijać obawy podnoszone przez przeciwników wprowadzenia euro, których według ostatnich sondaży jest już w polskim społeczeństwie ok. 65 procent. Dominuje narracja jaką zaprezentował ostatnio ekonomista Bogusław Grabowski, który wprost stwierdził, że „Polacy nie mają pojęcia o czym mówią, a on się zna, bo jest ekonomistą”. Trudno przypuszczać, by ten sposób prowadzenia dialogu o euro mógł znacząco zwiększyć liczbę zwolenników wspólnej waluty nad Wisłą.

Jednym z argumentów jest to, że euro pozwala na szybsze transakcje, jest korzystne dla importerów, pozwala na obniżenie kosztów transakcji dla wszystkich którzy muszą wymieniać złotego na euro, pozwala na szybszą integrację regionalną Europy, wzmocnia relacje handlowe, powoduje wzrost FDI, obniża ryzyko konfliktu wewnątrz Europy. Minusy – to np. bardzo rygorystyczna polityka monetarna i, bez unii fiskalnej, raczej

kontrproduktywna dla gospodarek narodowych. Z racji kontroli Niemiec nad EBC, polityka monetarna jest realizowana pod dyktando tego państwa. Unia monetarna nie ma sensu bez unii fiskalnej oraz rynków kapitałowych. Ponadto własna waluta łagodzi kryzysy, jest elastyczna, pozwala na akomodację ryzyk – to dodatkowa, a czasem główna linia obrony, szczególnie w czasie zawirowań gospodarczych.

Tymczasem ekonomiści pokroju Grabowskiego czy Marka Belki powinni zdawać sobie sprawę, że przeciwnicy odejścia od złotego dysponują sporym wachlarzem argumentów na poparcie swojego stanowiska i jeśli chce się na poważnie próbować przekonywać do zmiany pieniądza to należy sięgnąć po jakieś konkretne kontrargumenty, a nie obrażać się na ludzi myślących inaczej.

Przede wszystkim bardzo trudno zaprzeczyć temu, o czym już powiedzieliśmy, że w każdym kraju który przyjął euro dochodziło do znaczących podwyżek cen towarów i usług. W Chorwacji próbowano nawet temu przeciwdziałać strasząc nakładaniem kar na handlowców, ale warto zauważyć, że rozbudowywanie aparatu kontroli i represji nad rynkiem to także dodatkowy koszt dla państwa. Kolejnym argumentem zwolenników euro, podnoszonym często w ostatnich miesiącach jest ten, że Polska uchroniłaby się przed tak wysoką inflacją, gdyby znajdowała się w obszarze wspólnej waluty. Rzeczywiście średnia stopa inflacji dla całej strefy euro jest niższa niż w Polsce i wynosiła na koniec ubiegłego roku ok. 10,5 procenta. Natomiast w strefie Euro znajdowały się takie kraje jak Litwa, Łotwa i Estonia, gdzie inflacja była bliska 22 procentom. Widać zatem wyraźnie, że przynależność bądź nie do strefy euro nie ma żadnego znaczenia jeśli chodzi o poziom inflacji, a decydujące są tutaj inne czynniki, a zwłaszcza rosnące koszty energii. Inflacja była bowiem najniższa w Hiszpanii i Francji (odpowiednio 6,7 oraz 7,1 proc.), które są w dużej mierze zabezpieczone energetycznie, a najwyższa tam, gdzie występowało niemal pełne uzależnienie od surowców rosyjskich.

Kolejnym argumentem nad którym warto się zastanowić jest odporność na kryzysy. Polska – pomijając covidowy rok 2020 – szczyci się niemal nieprzerwanym od trzech dekad wzrostem gospodarczym i należy bardzo rzetelnie rozważyć czy aby na pewno byłby on możliwy, gdybyśmy przyjęli wspólną walutę, choćby w 2011 roku jak to zapowiadał Donald Tusk. Deprecjacja złotego już dwukrotnie ratowała polskie firmy przed upadkiem, a polską gospodarkę przed recesją. Własna waluta w sytuacjach kryzysowych jest najlepszym amortyzatorem rynkowych wahań, a płynność jej kursu dużo korzystniejszym sposobem

na uniknięcie ryzyk biznesowych niż na przykład konieczność masowych zwolnień pracowników czy ograniczanie wolumenu produkcji.

Trudno dyskutować z faktem, że znacznie wyższy wzrost PKB i niska aktualnie stopa bezrobocia to w dużej mierze zasługa posiadania własnej waluty, która uelastycznia polską gospodarkę w trudnych czasach. Rosnący tymczasowo kurs euro czy dolara do złotego to bez porównania dużo niższy koszt społeczny niż zwiększanie bezrobocia czy wyhamowywanie produkcji. Jednocześnie kurs waluty to narzędzie dynamiczne, szybko odwracalne, nie wymagające od sektora przemysłowego żadnych działań inwestycyjnych czy reorganizacyjnych, które są często nieodzowne w czasach kryzysu. Bez możliwości korzystania z „poduszki walutowej” wychodzenie z kryzysu trwałoby zdecydowanie dłużej, generowałyby dużo wyższe koszty społeczne, a jednocześnie wiązałyby się także z koniecznością zdecydowanych działań proinwestycyjnych obciążających budżet państwa.

„Konserwacja polskiej biedy”

Kolejną istotną kwestią są polskie ambicje dołączenia do klubu najbogatszych państw Europy, o najwyższej jakości życia obywateli. Warto zwrócić uwagę, że budowa po II wojnie światowej dobrobytu państw zachodnich naszego kontynentu odbywała się w czasach posiadania przez nie walut narodowych. Dopiero 1 stycznia 2002 roku euro zaczęło obowiązywać w 12 krajach UE w formie transakcji gotówkowych. Od tamtej pory nie słyszymy już o tym, że bogacą się obywatele takich krajów jak Hiszpania, Włochy czy Grecja. Zyskują głównie najwięksi gracze UE, a więc Niemcy i Francja. Wyobraźmy sobie teraz polskiego emeryta z dochodem na poziomie 500 euro, który jest mieszkańcem tej samej strefy walutowej co jego kilkukrotnie bardziej hojnie wynagradzany sąsiad zza zachodniej granicy. Obydwaj mają takie same ceny w sklepach i koszty życia - koszty czynszu, usług komunalnych czy transportu. Czy trzeba być ekonomistą jak Bogusław Grabowski, by zrozumieć, że stworzenie takiej wspólnej przestrzeni walutowej dla państw o tak różnym stopniu zamożności obywateli jak choćby Niemcy i Polska będzie dla naszych obywateli skrajnie niekorzystne? Wprowadzenie euro na obecnym etapie byłoby niczym innym jak „konserwacją polskiej biedy”, a jednocześnie wzmacniałoby ryzyko wyprzedawania majątku prywatnego Polaków na rzecz obywateli państw zamożniejszych.

Jeden z ostatnich argumentów z katalogu „za euro” jaki podnoszony jest w dobie inflacji i wysokich stóp procentowych dotyczy rentowności papierów dłużnych. Przyznać trzeba, że rentowność polskich obligacji w ostatnich dwóch latach wzrosła dwukrotnie, aż do 8

procent, co sprawia, że rośnie koszt obsługi naszego długu i dziś wynosi już prawie 10 procent zakładanych dochodów budżetowych. Kraje strefy euro są dużo wyżej zadłużone niż Polska i mają aktualnie niższy wzrost PKB, ale ich papiery dłużne i to nawet takich państw jak Grecja czy Włochy są oprocentowane niżej od naszych. Po części wynika to z tego, że obligacje greckie czy włoskie są skupowane przez Europejski Bank Centralny, który zamiast banków narodowych zarządza polityką walutową strefy euro. Popyt generowany przez EBC obniża wartość inwestorską obligacji greckich, ale jest to przecież działanie tożsame z tym, gdyby polskie obligacje kupował NBP. Rozważając zatem ewentualny udział w strefie euro jako zabezpieczenie przed zbytnią rentownością naszych papierów dłużnych powinniśmy dokładnie przeanalizować czynniki wpływające na wzrost ich oprocentowania. Możemy niestety z dużą dozą pewności założyć, że najlepszym zabezpieczeniem przed wysokim oprocentowaniem polskich obligacji jest zbudowanie silnej i bogatej gospodarki, o co łatwiej i szybciej... zachowując własną walutę. Warto zatem budować silne fundamenty i wiarygodność w oczach międzynarodowych instytucji finansowych zamiast polegać jedynie na interwencyjnej polityce EBC, do czego namawiają dziś zwolennicy przyjęcia euro, gdyż w ten sposób nigdy nie zdobędziemy tak pożądanej wiarygodności.

W czasie dyskusji o wprowadzeniu euro pojawiają się także mniej poważne argumenty, niemniej dla pełności jej obrazu warto je odnotować. Chodzi o wygodę podróżowania i brak kosztów wymiany waluty. Przyznać należy, że nie są to istotne zagadnienia z punktu interesu państwa i polskich obywateli i jako mało znaczące nie powinny być brane pod uwagę w procesie decyzyjnym.

Wspólna waluta – zmierzch banku centralnego

Rok wyborów parlamentarnych w Polsce jest czasem kiedy wyjątkowo uważnie warto się przyglądać dyskusji wokół euro. Jest to bowiem jedna z gałęzi wielkiego dylematu dziejowego w jaki wepchnął świat i kontynent europejski Władimir Putin rozpętując wojnę na Ukrainie. W Polsce będziemy decydować o tym, czy wybieramy budowę silnego bloku państw Europy Środkowo-Wschodniej zorientowanego na ścisły sojusz i współpracę ze Stanami Zjednoczonymi czy też dołączymy do koncepcji niemieckiej, czyli przeobrażenia Unii Europejskiej w państwo federacyjne, które zagarnie większość dotychczasowych kompetencji państw narodowych. Analizując dotychczasową postawę Niemiec, ich uległość wobec Rosji i ścisłe uzależnianie od rosyjskich surowców trudno znaleźć dobre argumenty przemawiające na pełnym zaufaniu do naszego zachodniego sąsiada. Dodatkowo toczący

się od 7 lat spór Polski z instytucjami europejskimi o różnie interpretowaną „praworządność” także nie skłania do podejmowania decyzji jeszcze bardziej integrujących nasz kraj z jądrem decyzyjnym Unii Europejskiej. Zwolennicy pozostawienia złotego teoretycznie mogliby spać spokojnie, gdyby mieć pewność, że do ewentualnej zmiany waluty dojdzie zgodnie z zapisami polskiej konstytucji, do której zmiany potrzeba aż 307 głosów w Sejmie, o co w obecnej konstelacji politycznej jest bardzo trudno. Mimo tego nawet w polskiej debacie publicznej już pojawiały się głosy mówiące, że euro można przyjąć bez zmiany konstytucji. W lipcu 2015 roku ówczesny prezes Trybunału Konstytucyjnego Andrzej Rzepliński mówił o tym w książce „Służąc rządowi dobrego prawa. Andrzej Rzepliński w rozmowie z Krzysztofem Sobczakiem”. - *Spójrzmy na artykuł 227, który stanowi, że za wartość polskiego pieniądza odpowiada Narodowy Bank Polski. Mowa jest zatem o pieniądzu polskim, ale nie ma mowy, że tym pieniądzem musi być złoty. Przyjęte przez nas euro będzie także polskim pieniądzem, a symbolicznym tego wyrazem są monety, na których są akcenty narodowe. I to jest waluta każdego z państw członkowskich –* stwierdził prezes TK.

Następnie jednak prof. Rzepliński nieco się zreflektował i stwierdził, że: *„zmiana konstytucji będzie konieczna przed przyjęciem euro z innego powodu, ponieważ obecnie konstytucja stanowi, że to Narodowemu Bankowi Polskiemu przysługuje wyłączne prawo emisji pieniądza. Po przyjęciu euro stanie się to kompetencją Europejskiego Banku Centralnego, w którym prezes NBP będzie wówczas jednym z dyrektorów”*.

Jaką wartość ma polska konstytucja dla obecnych elit Unii Europejskiej, widać jednak na przykładzie obecnego sporu wokół polskiego sądownictwa, gdzie lansowanie niezgodnego z żadnym prawem świata przepisu o możliwości wzajemnego kwestionowania swojego statusu przez sędziów nie tylko nie przeszkadza, ale jest wręcz oczekiwane przez Brukselę. Trudno zatem nie obawiać się, że jeśli znajdzie się polski polityk o afiliacjach podobnych do tych jakie charakteryzują obecnego chorwackiego prezydenta, kwestia euro w Polsce znacząco przyspieszy mimo braku wypełniania kryteriów, braku zmiany konstytucji czy nawet braku społecznej akceptacji. Wprowadzenia euro w tak dużym i istotnym kraju europejskim jak Polska, który utrzymuje wciąż wysoki wzrost PKB (5 procent za 2022 roku!) jest jednym z istotnych elementów budowy państwa federacyjnego pod przewodnictwem Niemiec.

Przyjęcie euro byłoby także istotne w wymiarze symbolicznym, bo praktycznie zlikwidowałoby Narodowy Bank Polski, a dodatkowo zgromadzone w skarbcu NBP około

228,8 ton złota zostałyby przekazane do zarządzania przez EBC. Polska gospodarka utraciłaby znakomite narzędzie jakim jest amortyzacja kryzysów przez posiadanie własnej waluty, wzrost gospodarczy wyhamowałby do średniej strefy euro, w której niektóre kraje będą zmagać się w najbliższych latach z recesją, a Polacy mogliby odłożyć marzenia o osiągnięciu poziomu życia obywateli państw zachodnich na trudną do określenia przyszłość. Choć być może spadłyby stopy procentowe, a o rentowność naszego długu dbałby EBC, to dostępność dóbr takich jak mieszkania czy samochody wcale nie byłaby dla przeciętnego Polaka większa. Przeciwnie, wyższe ceny i koszty życia w znaczący sposób zmniejszyłyby siłę nabywczą polskich obywateli. Polskie przedsiębiorstwa nie miałyby już tak dobrej pozycji eksportowej, gdyż koszty produkcji i ceny wytwarzanych dóbr we wspólnej walucie nie różniłyby się od towarów niemieckich i z nimi musiałyby konkurować na światowych rynkach. Można zatem spodziewać się, że polskie podmioty biznesowe, które zdołały wypracować sobie markę i silną pozycję eksportową byłby przejmowane przez bogatsze firmy zachodnie w sytuacji, gdy atut w postaci amortyzacji walutowej zostałby bezpowrotnie utracony.

Trwająca w Europie dyskusja o konieczności budowy państwa federacyjnego na miejscu obecnej Unii Europejskiej, państwa, w którym przestałoby obowiązywać prawo weta i zasady jednomyślności wpisuje się w nakłanianie Polaków do przyjęcia wspólnej europejskiej waluty. Krzepiące jednak, że im bardziej trwa ta kampania, tym spada odsetek obywateli naszego kraju, którzy podzielają jej założenia. Najważniejszy plebiscyt odbędzie się jednak dopiero jesienią przy urnach wyborczych. To wtedy zdecyduje się, czy Polska zachowa swoją niezależność i tożsamość – także w obszarze własnego pieniądza, czy też zostanie wchłonięta jako kraj mający użyczyć swoich zasobów nadwątlonej kryzysami strefie euro. Rok 2022 i wojna rozpętana na Ukrainie pokazała, że to Polska w ostatnich latach miała rację w kwestiach politycznych i gospodarczych, namawiając do uniezależniania się od tak nieprzewidywalnego partnera jak Rosja. Warto wyciągnąć z tej lekcji wnioski i poważnie rozważyć komu tak naprawdę opłaci się ewentualne wprowadzenie euro w naszym kraju.

* * *

Instytut Staszica to niezależny think-tank, zajmujący się kwestiami społecznymi w kontekście zrównoważonego rozwoju. W gronie współpracowników IS znajdują się publicyści, wykładowcy akademicki, eksperci. Prezesem Instytutu jest dr hab. Agnieszka Domańska.